

OKOLICZNOŚCIOWE SPOTKANIE Z PRZEDSTAWICIELAMI NIEMAL WSZYSTKICH ORGANIZACJI I ŚRODOWISK KOMBATANCKICH, DZIAŁAJĄCYCH NA TERENIE MIASTA

Śmierć zaglądała mi w oczy



fol. Ł. Mendychowski

Mimo swoich 87 lat Marian Tomaszewski jest w znakomitej formie.

Rozmowa z 87-letnim Marianem Tomaszewskim.

Przemyslanin z krwi i kości. W młodym wieku aresztowany przez NKWD. Siedmiokrotnie uciekał z rąk hitlerowskich i sowieckich oprawców. Członek Armii Polskiej generała Andersa. Jeden z bohaterów bitwy pod Monte Cassino. Po wojnie zamieszkał w Anglii, gdzie – za pieniądze zarobione w Afryce – kupił fabrykę. Nie zapomniał o swoim rodzinnym mieście, rzeczowo i finansowo wspierając sierocińce. Ostatnio zaopiekował się podupadającą rezydencją Morsztynów w podkrakowskich Pławowicach.

Wielu, zwłaszcza młodych ludzi z Przemyśla nie ma pojęcia, kim jest Marian Tomaszewski. Nie wiedzą, że urodził się pan w Przemyślu. Jak wspomina pan miasto swojej młodości?

– Spędziłem tutaj wspaniałe lata. Tutaj skończyłem szkołę podstawową imienia świętego Jana Kantego i gimnazjum na ulicy Basztowej. W 1939 roku miałem pójść do pierwszej klasy liceum, ale już nie zdążyłem. Należałem do wielu organizacji młodzieżowych. Przynależność do ówczesnego harcerstwa po dziś uznaję za wielkie dobrodziejstwo. Byłem w gromadzie zuchów, którą u ojców Salezjanów prowadził ksiądz Mroczek. Kiedy wybuchła wojna, moja drużyna harcerska miała za zadanie prowadzenie punktu opatrunkowego. Po kilku dniach zostałem przeniesiony na stację kolejową do rozdawania herbaty rannym żołnierzom. Następnie trafiłem do grupy obrońców Przemyśla, którą powołał porucznik Kotek. Walczyliśmy przez trzy dni na stanowisku w Hurku. Kolejnym rozkazem był wymarsz do obrony Lwowa. Pracowałem tam jako sanitariusz w szpitalu imienia Królowej Jadwigi.

Kiedy opuścił pan rodzinne miasto?

– Kiedy wróciłem do Przemyśla, na Sanie była już granica niemiecko-sowiecka. Miałem wtedy 17 lat. Przyszedłem do domu nocą. Już wtedy szukało mnie gestapo, o czym powiedzieli mi rodzice. Trzy dni przespałem na strychu. Uciekłem do rodziny do Sambora. Miałem wyjechać na Węgry, ale się nie udało. Złapało mnie NKWD. Zakopował mnie jeden z kolegów ze szkoły. Wstąpił do sowieckiej milicji i powiedział im, że zakopałem gdzieś karabin maszynowy. Nie zrobiłem tego, więc nie miałem do czego się przyznawać. Powybijali mi kilka zębów i skazali na 8 lat więzienia w Kazachstanie.

Czy czas spędzony w Kazachstanie to najtrudniejszy okres w pana życiu?

– Pracowałem w kopalni węgla w Karabasie. Było ciężko, ale dało się przeżyć. Osiem godzin tam pracowałem, a cztery przy przeładunku węgla na stacji kolejowej w Karagandzie. Tam udało mi się uciec. Wskoczyłem do pociągu do Swierdłowska i tyle mnie widzieli. Problemem był tylko brak doku-

mentów. Mając jednak praktykę, zaciągnąłem się do pracy w kopalni, gdzie przepracowałem sześć tygodni.

Jak dostał się pan do Armii Polskiej generała Andersa? Przeszedł pan z nią cały szlak bojowy. Iran, Irak, Egipt, Palestyna, Włochy i słynne dla Polaków Monte Cassino. Jest Pan jednym z niewielu żyjących przemysłań, którzy tam walczyli. Czy w tamtym strasznym czasie nie było chwil zwątpienia? Czy były sytuacje, że śmierć zagładnęła w oczy?

– Ze Swierdłowska dostałem się do Taszkientu. Na stacji Buzułuk zobaczyłem polskiego żołnierza! Nie wierzyłem własnym oczom. Nie wiedziałem, że była amnestia. Szukał chętnych do zaciągnięcia się do Wojska Polskiego. Tak się zaczęło. Potem był Tock, gdzie była kompania przejściowa. Mieliśmy kilka miesięcy szkolenia i wyjechaliśmy do Uzbekistanu. Przez Persję trafiliśmy do Iraku, gdzie przeszliśmy szkolenie na broń pancerną. Potem była Palestyna i Egipt. Tam, na piskach pustyni, przygotowywaliśmy się do inwazji na Włochy. Walczyłem ostatecznie w 6. Pułku Pancernym Dzieci Lwowskich. Najpierw była wielka bitwa nad rzeką Sangro, gdzie zginął kapitan Winiarski z przemyskiej Winnej Góry, który był dowódcą kompanii piechoty. Monte Cassino... Miałem 22 lata. Byłem dowódcą plutonu. Dostałem Krzyż Walecznych i stopień podporucznika. To był wielki wyczyn. Zdobyliśmy wzgórze Piedemonte. Teraz stoi tam pomnik nam poświęcony. Czy się bałem? Nie. Nie było na to czasu. Gdybym był starszy, to może. Śmierć raz zagładnęła mi w oczy. Pod Loreto, kiedy dostaliśmy się pod potężne bombardowanie hitlerowskich samolotów. Ale się udało. Potem zdobyliśmy kolejno Anconę i Rimini. Tuż po wojnie zrobiłem maturę w szkole u Jezuitów w Rzymie.

Po wojnie nie wrócił pan do kraju tylko wyemigrował do Anglii. Dlaczego?

– Bo dostaliśmy rozkaz wyjazdu do Anglii. Miałem maturę, więc chciałem zrobić studia. Miałem dwie możliwości: albo iść na kurs kapitański marynarki wojennej albo na elektronikę górniczą. Wybrałem to drugie i skończyłem. Ożeniłem się z Polką, która również przeszła cały szlak bojowy z armią Andersa. Wcześniej jednak się nie znaliśmy. Poznaliśmy się dopiero w Anglii. Osiedłem na przedmieściach Manchesteru. Staż odbyłem w kopalni w Newcastle. Potem przez 10 lat bardzo często jeździłem na kontrakty do Afryki. Płacili olbrzymie pieniądze, dwadzieścia razy przekraczające zarobki w Anglii. Dorobiłem się i otworzyłem własny biznes. Kupiłem nieczynną fabrykę włókienniczą, w której zacząłem produkować onyksowe lampy.

Mimo tysięcy kilometrów, nie zapomniał pan o rodzinnym mieście. W trudnych czasach organizował pan pomoc dla przeróżnych instytucji w Przemysłu. Jak to wyglądało?

– Zawsze pomagałem swojej rodzinie. Kiedy w Polsce ogłoszono stan wojenny, nie zastanawiałem się ani chwili. Dochodziły do mnie głosy, że nie ma podstawowych rzeczy. Od lat jestem prezesem Domu Polskiego w Manchesterze, więc zmobilizowałem innych rodaków i zaczęliśmy działać. Na początek wysyłaliśmy ciężarówkę załadowaną po sam dach lekarskimi, środkami higienicznymi i opatrunkowymi. Łącznie siedem i pół tony. Pomagałem dwóm przemyskim sierocińcom. Jednemu z nich kupiliśmy w Przemysłu nawet budynek i wyposażyliśmy go.

Czy kiedykolwiek tęskni pan za rodzinnym miastem i czy chętnie pan tu wraca?

– Bardzo. Ciągnie mnie tutaj okropnie. Mam już jednak swoje lata i coraz trudniej wybierać się w tak daleką podróż.

Spotkanie po latach

11 września, na zaproszenie prezydenta Przemysła Roberta Chomy w urzędzie miasta odbyło się spotkanie przedstawicieli niemal wszystkich organizacji i środowisk kombatanckich, działających na terenie miasta. Spotkanie to miało oczywiście związek z 70. rocznicą wybuchu II wojny światowej. – Pamiętamy i doceniamy państwa działalność sprzed lat i teraz, kiedy kultywujecie tradycje. To jest znakomity przykład dla nas, młodszych. Jest Was coraz mniej, ale swoją siłą i osobowością reprezentujecie to, co dla każdego powinno być najważniejsze: umiłowanie ojczyzny, honor, patriotyzm – powiedział do zgromadzonych R. Choma.

Mariusz Godos